

SWATKA

ROZDZIAŁ I

Co wiecie o korupcji? Jeden zły koleś daje wór pieniędzy innemu złemu koleśowi? Mniej więcej. Oczywiście, może to być koperta, czarna teczka – jak w dobrych amerykańskich kryminałach lub przelew na określone konto, gdzieś w bliżej nieokreślonym banku na świecie. Czy tak sobie wyobrażacie korupcję? Ok, to pozwólcie, że przybliżę wam temat. W rzeczywistości pomiędzy jednym złym typkiem, a drugim, stoi ktoś jeszcze, ktoś, kto najpierw angażuje spotkanie. Ów człowiek zazwyczaj znajduje się w cieniu, nie rzuca się w oczy, a jego misją jest przypilnować, żeby transakcja przebiegła pomyślnie. Takim kimś jestem ja. Czasami rzeczywiście trzymam wór pieniędzy, czasami przekazuję inne dobra – kawałek ziemi w centrum miasta, przytulną pozycję w rządzie, albo udziały w spółkach. Bywa różnie, dzisiaj w dłoni trzymam jednak walizkę pieniędzy. Stoję z nią na ulicy State Street, w tętniącym życiem Nowym Jorku, a przede mną rozciąga się widok na zatokę i pływające promy. Zerkam, raz po raz, to na widniejącą w oddali Statuę Wolności, to na nowego Rolexa. Ubrany jestem w idealnie skrojony garnitur Armaniego. Wyglądam jak dostoyny gentleman, ale klęę pod nosem jak stary marynarz. Mój szofer spóźnia się już dobre pięć minut – przekłete nowojorskie korki. Nazywają mnie Swatka. Kiedyś mogliście o mnie usłyszeć pod innym przezwiskiem. Mówili na mnie Święty Mikołaj, ale było to przezwisko zbyt oczywiste dla profesji, którą wykonuję. Na swoją obronę powiem, że wybrałem je sobie na początku kariery. Historia tej ksywki sięga mojej młodości. Gdy byłem mały pewien pan z długą białą brodą, opadającą mu na czerwony gajerek, chciał mnie przekupić lizakiem za dobre zachowanie. Pamiętam, że mając siedem lat wybrałem się z matką do Woodbury na przedświąteczne zakupy. Wypatrzyłem tam sobie plecak z logo Star Wars, na który oczywiście nie mieliśmy pieniędzy. Jako pięcioletni fan Jedi ryczałem na środku ulicy dobre przez pół godziny starając się wymusić na matce kupno. Nie dała się. Zaczepiła

krążącego wśród tłumu gościa, który w przebraniu Mikołaja uśmiechał się do przechodniów. Poprosiła, by mnie czymś przekonał do dobrego zachowania. Użyła słowa „przekonał”, chodź ja po latach uważam, że „przekupił” pasuje w tej historii znacznie lepiej. On miał mi dać lizaka, ja miałem być grzeczny. I wiecie co? Wziąłem tego pieprzonego lizaka (był kwaśny jak diabli), a w drodze do domu ryczałem jeszcze bardziej, bo tak bardzo chciałem mieć ten plecak. „Świętym Mikołajem” zwałem się na początku kariery. Wybrałem to przezwisko, bo kojarzyło mi się z dawaniem prezentów w celu wyegzekwowania odpowiednich zachowań. Ale było ono zbyt oczywiste, nie tylko w kręgu kryminalistów, ale i dla policji. Niepotrzebnie zwracałem na siebie zbyt dużą uwagę. Dlatego później zacząłem się nazywać „Swatką”. Witajcie w świecie przezwisk i ksywek. Będzie ich sporo w tej opowieści.

Ksywa „Swatka” powstała w Japonii, podczas mojego rocznego, przymusowego pobytu w kraju kwitnącej wiśni. Musiałem się tam udać i przeczekać aż sytuacja po mojej drobnej wpadce w Stanach trochę przycichnie. Jeśli ktoś nie wie co to „Swatka”, to dla przypomnienia – w Japonii nazywa się tak kobietę, której zadaniem jest skojarzenie ze sobą dwóch osób tak, by doszło do zaślubin. Różnica pomiędzy mną, a prawdziwą Swatką jest taka, że ja oczywiście nie jestem kobietą (mam całkiem zasobne przyrodzenie – nie chwalę się, przytaczam suche fakty, słyszałem ten komplement kilka razy) i nie prowadzę osób do ołtarza, jednak staram się, żeby w mojej obecności powiedzieli sobie „tak”. Po „zaślubinach” przynoszę prezenty, które mają pomóc parze na nowej drodze życia. Moje „małżeństwa” trwają kilka minut, potem parka się rozchodzi. Prezenty jednak zostają z nimi i przynoszą im spore profity – zapewniam was, że sami byście chcieli żebym wam kiedyś wrzucił do komina czek na milion. Niestety, ja przynoszę prezenty tylko niegrzecznym dzieciom, a nawet bardzo niegrzecznym, którzy potrafią ci przystawić pistolet do czoła, gdy prezent im się nie spodoba i wymusić inny. W każdym zawodzie istnieje ryzyko. Ośladza mi je fakt, że zawsze pobieram dziesięć procent wartości, którą przynoszę. Z czegoś trzeba żyć. Przy trzech zleceniach rocznie wyciągam około pół miliona, ale zazwyczaj zleceń jest więcej. Kiedyś brałem dużo małych zleceń,

na niewielkie sumki. Dzisiaj idę w wielkość zlecenia, a nie w ich ilość. Tej taktyki nauczyła mnie afera z Japonią. Nie ma jednak tego złego co by na dobre nie wyszło. Nauczyłem się też, że lepiej nie współpracować z ludźmi, o których się nic nie wie. Teraz zawsze sprawdzam swoich klientów. W tej chwili niosę dwa miliony w gotówce dla senatora Thomasa Cosby. Dwa miliony za głos na przetarg dla Shui&Cheng Construction Group w sprawie budowy fabryki tworzyw sztucznych. Przetarg już za tydzień, a ja mam jeszcze do obskoczenia dwóch polityków. To mój drugi kurs w tym tygodniu do biura senatora. Umówili się na cztery miliony, ale ja nigdy nie przynoszę prezentów na raz. Za duże ryzyko. Tego też nauczyła mnie Japonia. Cierpliwość to klucz do sukcesu.

Pan senator otwiera mi drzwi. Jego żona rzuca mi ciepły uśmiech, a dzieci machają mi wesoło. Będą mieli pieniążki na rodzinne wakacje w Aspen. Czyż ja nie jestem wspaniałym człowiekiem, który spełnia marzenia? Do pana senatora dotarłem przez jego żonę. Spałem z nią dwa razy i wtedy opowiedziałem jej o panu Shui z Shui&Cheng Construction i przetargu na wieżowiec w najbliższy piątek. Rachel szybko wzięła się do działania i suszyła senatorowi głowę przez dwa tygodnie. Shui&Cheng Construction znani byli z dobrej deweloperki, ale i ze złej polityki wobec środowiska. Na szczęście Nowy Jork to betonowa dżungla, która środowisko ma w poważaniu. Rachel Cosby przekonała męża by oddał głos na pana Wang. W sumie mu zależy? Jeśli wieżowca nie zbuduje ta chińska korporacja, to pewnie zrobi to inna, o podobnej renomie. A rodzina senatora(sprawdzić kto odpowiada za przetargi w stanach, pozycje polityczne) ma wydatki. Rachel to zaradna kobieta. Kłaniam się jej nisko i wychodzę.

Dojechaliśmy w końcu pod mój apartament na Upper East Site. Winda wiezie mnie do apartamentowca na ostatnim piętrze, a ja w tym czasie poprawiam brązowe włosy i gładzę się po równo ogolonym podbródku. Na górze czeka na mnie moja kobieta. Natasza? Nadia? Nicole? Dokładnie nie pamiętam jej imienia, ale wiem, że na pewno zaczynało się na literę N. Poznałem ją niedawno. No dobra, poznałem ją wczoraj. Poprawiam krawat. Dostaję smsa od Rachel – żony senatora. Dziękuje mi i przesyła

buziaka. Cóż za słodziak! Panie senatorze, jest pan szczęściarzem, myślę i wychodzę z widny.

Czas przywitać się z moją kobietą. „N.” obiecała, że poczeka do wieczora. Apartament pomieściłby sześciuosobową rodzinę, na pewno znalazła w nim mnóstwo zajęć.

– Kochanie! – Zawsze to mówię, jak nie pamiętam imienia, tak jest bezpieczniej – Wróciłem!

Wita mnie przeraźliwa cisza, przecinana cichym brzęczeniem klimatyzatora.

– Kochanie. Jestem już.

Znowu cisza.

– Gdzie ona jest? – myślę i idę do sypialni.

Mój wzrok zatrzymuje się na długich, czarnych włosach, wystających spod kołdry. Czyżby „N.” jeszcze nie wstała? Jest szósta po południu, na litość boską. Pociągam za róg materiału i odkrywam kołdrę, by ujrzeć moją śpiącą królową.

– Jack, nareszcie wróciłeś – odzywa się do mnie wielkie, owłosione cielsko.

Poznajcie Carlosa Torres, przezwisko „Geronimo”. Długie włosy, zaplecione w warkocz i latynoska karnacja powodują, że wygląda jak wóz plemienia Apaczów. Podobno jego pradziadek był Indianinem, ale ja nie mam co do tego pewności. Wiem jednak, że ojciec pochodził z Camargo w Meksyku, a potem wyemigrował do El Paso, gdzie poznał Irinę – amerykańkę Ukraińskiego pochodzenia. Tak pojawił się na świecie Carlos. Wiem, trudno sobie wyobrazić taką mieszankę genów, które utkwily w jednym człowieku, a to nawet nie jest połowa ciekawostek o Carlosie. Carlos przeniósł się z El Paso do Nowego Jorku i skończył studia ekonomiczne. Ma niesamowitą smykałkę do liczb. Poznałem się z nim podczas jednej z transakcji dla moich klientów. Od razu się polubiliśmy i szybko zostaliśmy współpracownikami.

Do Carlosa zwracam się „Geronimo” – ksywka wzięła się od imienia indiańskiego wodza i szamana. Carlos ją lubi. Opowiadał mi dużo o swym pradziadku (którego nigdy nie poznał) i pokazywał mi pozostawione po nim zapiski. Ufam mu, jak nikomu innemu na świecie i płace mu słono, by on mógł ufać mi. Tworzymy dobry zespół i wydaje mi się, że nawet zawiązała się między nami nie przyjaźni.

Odsunąłem się od łóżka, żeby mogli spokojnie wstać – Geronimo i ten jego ogromny brzuch. Wiele razy powtarzałem mu, żeby poszedł na siłownię i coś ze sobą zrobił, ale jego gównu obchodziły moje rady. Powtarza mi, że Mayela kocha, go takim jakim jest, i że w nocy lubi się tulić do jego brzusia. Ohyda. Nawet nie chcę o tym myśleć. Wolę się skupić na mojej nowej dziewczynie.

– Gdzie ona jest? – pytam, biorąc się pod boki.

– Kto?

– Dziewczyna.

– Przegoniłem ją. Nie była dobrym materiałem na żonę – odpowiada mi spokojnie i poprawia kucyka, zaciskając go mocniej gumką do włosów.

– Geronimo...gdzie ona jest?

– Zapomnij o niej. Miała tatuaż węża, a według tradycji indiańskiej znak węża przynosi nieszczęście.

– Od kiedy masz coś do tatuaży!? Sam masz co najmniej ze cztery.

– Wiesz gdzie miała ten tatuaż? – zapytał.

Wiedziałem. Trzeba było zdjąć kilka warstw ubrania, żeby się do niego dostać.

– Pokazała mi go i zapytała czy chciałbym sobie dokładniej go obejrzyć – kontynuował Geronimo, a ja zmarszczyłem brwi. – Jack – zwrócił się do mnie po imieniu. – Czy nie możesz sobie znaleźć jakiejś porządnej kobity? Spójrz na siebie. – Poklepał mnie wielką ręką po twarzy. – Śliczny brunet o zielonych oczach. A do tego elegancki i zadbany. –

Przejechał mi dłonią po krawacie. – I bogaty. Bogaty, prawda? – zapytał nawiązując do dzisiejszego zlecenia.

Skinąłem głową.

– Rachel odwaliła większość roboty. Zastąpiła mnie w roli negocjatora. Wywali senatora za drzwi jeśli nie zagłosuje na Shui&Chang Construction. Pod koniec tygodnia mam im dowieźć resztę kasy.

– Dobrze, oby Chińczycy szybko zlecili nam przelew. W tym miesiącu muszę złożyć rozliczenie podatkowe. Wiesz, że lubię mieć wszystko przygotowane zawczasu – przysuwa mi dokumenty, na których widnieje moje imię i nazwisko – Jack Thompson, a także nazwa firmy Ice Consulting Group, którą kupiłem w tamtym roku, żeby w oczach skarbowki być czysty jak łąza. Pod dokumentami leży czek dla Geronimo dla niego za obsługę finansową.

– W porządku – odpowiedziałem i wypisałem mu czek. – Jak się tu dostałeś tak w ogóle?

– zapytałem, patrząc jak podchodzi do stołu w kuchni i zajmuje przy nim miejsce.

– Dałeś mi klucze, na wypadek, gdyby coś ci się przytrafiło.

Tak, rzeczywiście dałem mu klucze, teraz sobie przypominam.

Wdrapał się na wysokie krzesło przy barze.

– Masz coś do picia? – zapytał patrząc na mnie spod krzaczastych brwi. Zdziwiłem się, że sam się jeszcze nie obsłużył. W końcu czuł się w moim mieszkaniu jak u siebie.

Odłożyłem długopis i podszedłem do mahoniowego barku. Wyciągnąłem z niego dwudziestoletnią Michter's Bourbon Whiskey. Nalałem nam po szklaneczce.

– Mayela jest w ciąży – powiedział dumnie.

– Gratuluję – odpowiedziałem i uniosłem szklankę. Geronimo po raz drugi miał zostać ojcem.

– Chce żebym wziął normalną pracę, na przykład w banku, albo w innej instytucji finansowej.

Uniosłem brwi.

– Zanudzisz się tam na śmierć – odpowiedziałem. – Plus zarobisz dziesięć razy mniej niż u mnie.

– Wiem, ale ona nie chce, żeby było tak jak ostatnio, żebym zniknął.

Tak. Pięć lat temu Mayela była w ciąży i pięć lat temu przytrafił mi się niefortunny wyjazd do Japonii i jak nigdy dotąd potrzebowałem mojego wspólnika.

– To było dawno. Teraz działam inaczej.

– Jack, ty też powinieneś skończyć z tą robotą. Masz wystarczająco dużo pieniędzy, zainwestuj w nieruchomości. Kup kilka apartamentów w Nowym Yorku albo na Lazurowym Wybrzeżu.

– Przekazywanie paczek to moja praca.

– To się zatrudnij w FedExie.

Uśmiechnąłem się lekko.

– Nie poradzę sobie bez ciebie – powiedziałem zupełnie szczerze.

– Wiem. – Pokiwał głową. – Dlatego cię proszę, żebyś zrezygnował.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Wiesz dlaczego.

Geronimo pokręcił głową.

– Przemysł to. Jesteś młody. Masz dopiero dwadzieścia osiem lat. Przyszłość jest w twoich rękach.

– Za przyszłość! – Uniosłem szkło.

– Za przyszłość – powtórzył i opróżnił szklankę.

Wypiliśmy jeszcze kilka kolejek. Alkohol zrobił swoje. Zamiast z „N.” obudziłem się w łóżku z meksykańskim grubasem. Geronimo chrapał jak niedźwiedź, a jego wielkie łapsko leżało na moim brzuchu. Obrzydlistwo.

– Geronimo! – klepnąłem go w ramię. – Jest siódma rano. Urznęliśmy się jak świnie.

Mruknął coś pod nosem, ale się nie poruszył. Chwyciłem go za wielkie ramię próbując nim potrząsnąć. Bezskutecznie. Z wielkich ust znowu wydobyło się mruknięcie i potworny odór alkoholu. Zrobiło mi się niedobrze. Podniosłem głowę i poczułem, że ból rozsadza mi czaszkę. Dopadał mnie cholerny kac. Zrzuciłem z siebie łapsko Geronimo i podreptałem do kuchni. Na blacie leżały dwie butelki Michter’s, polska wódka, zgrzewka piwa, zeznanie podatkowe, a także czek na dwa miliony odprawy. Niech to szlak, Grubas mnie upił, a ja mu wypisałem czek na odchodne. Pogadam z nim o tym jak wstanie.

Chwyciłem za rączkę od lodówki i szarpnąłem nią mocno. Poczułem przyjemne uderzenie chłodnego powietrza. Wyjąłem butelkę wody i ciurkiem opróżniłem jej zawartość. Pragnienie ustało, ale ból nadal rozdzierał mi czaszkę. Wiedziałem, że będę potrzebował czegoś mocniejszego na ukojenie. Poszperałem w szufladzie z lekami. Dziewczyny, które mnie odwiedzały czasem zostawiały tu tabletki na kaca. Tym razem nie znalazłem jednak nic – z „N.” nie zdążyliśmy się porządnie poznać, więc i ona nie miała czego zostawiać. Niech to szlag, przekląłem w myślach i wtedy, nagle przeraźliwe dzwonięcie przeszło mi czaszkę. Ktoś nacisnął dzwonek do drzwi, a potem zaczął dobijać się do drzwi.

– Kogo diabli niosą? – krzyknąłem. Była siódma rano. Zazwyczaj o tej porze nie miewałem żadnych gości. – Może to Mayela? – pomyślałem. – Czyżby szukała męża? W

końcu nie pierwszy raz Geronimo został u mnie na noc, ale wtedy przeważnie były też dziewczyny, a Mayela była zajęta dzieckiem.

Chwyciłem woreczek lodu i przyłożyłem sobie do skroni, a potem poszedłem w kierunku drzwi. Później wiele razy zastanawiałem się, co by było gdybym zignorował dzwonek i wrócił do łóżka? Gdzieś w głębi duszy wiedziałem jednak, że analizuję tę sytuację na próżno. Życie mogłoby napisać wiele alternatywnych scenariuszy, a ja w każdym otworzyłbym te pieprzone drzwi. W moim łóżku spał wielki tłusciuch, od którego waliło alkoholem, więc nie miałem drogi powrotnej, a ten kto naciskał na dzwonek i tłuł się do drzwi nie zamierzał przestać. Musiałem podejść i otworzyć.

Skierowałem się ku odgłosowi i spojrzałem przez wizjer. Zamurowało mnie. Na progu stał kapłan (a przynajmniej ktoś na kapłana wyglądający), a przy nim niewielki dzieciak o ciemnej karnacji.

– Co do diabła? – pomyślałem, a potem warknąłem przez drzwi. – Jestem ateistą. Nie daję pieniędzy na żaden kościół.

– Swatka? – odezwał się przybysz. – Jesteś tam? Mam zlecenie.

Niepewnie otworzyłem drzwi, nie zdejmując łańcuszka.

– Czego chcesz? – zapytałem, bacznie przyglądając się niebieskim oczom dorosłego przybysza.

– Mówią na mnie Biskup – odpowiedział i wyciągnął do mnie rękę, żeby się przywitać. – Nie daję rozgrzeszenia, ale chętnie przyjmuje wszelkie datki.

Słyszałem o nim. W tym fachu jest dużo szajbusów. Wiedziałem, że niektórzy, tacy jak ten, przebierają się za chrześcijańskich księży lub innych duchownych, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Szmuglują prochy, broń, ludzi, wszystko co wejdzie im w ręce, a sutanna skutecznie odciąga wzrok natarczywych glin. Biskup był znany w podziemnym świecie z przemytu bronią. Co do cholery robił przed moimi drzwiami z małym dzieckiem u boku?

Spojrzałem na dzieciaka.

– To kolejne zlecenie od pana Li Wang – odezwał się Biskup uprzedzając moje pytanie. – Dzieciak ci wszystko powie.

Natychmiast wsadził jakąś kopertę do rąk chłopczykowi i zmierzwił mu włosy, a mały postąpił krok do przodu.

– Chwila, chwila, chwila... Jakie kolejne zlecenie? – zapytałem. – Nie brałem żadnego zlecenia.

– Pan Wang hojnie cię za to wynagrodzi i da ci za małego coś więcej niż pieniądze.

– Nie zajmuję się handlem żywym towarem – powtórzyłem. – Zabierajcie się stąd! – machnąłem na nich ręką i zacząłem zamykać drzwi, ale Biskup natychmiast je zablokował stopą.

– Pan Wang uważa inaczej.

– Nie biorę tego! Wynocha! Oboje!

– Zostawiam ci małego. – Biskup uśmiechnął się i cofnął stopę.

Zamknąłem drzwi, a Biskup zaczął wołać na korytarzu.

– Niech Was Bóg błogosławi!!!

Usłyszałem dźwięk nadjeżdżającej windy. Spojrzałem przez wizjer od drzwi. Mały stał na korytarzu z kopertą w dłoni, a Biskup zabierał się do wyjścia.

– Chwila! – krzyknąłem i ruszyłem za nim na korytarz. Nie mógł mi tak po prostu zostawić dzieciaka. Widna się otworzyła, a Biskup wszedł do niej pewnym krokiem. Zdażyłem go złapać za sutannę. Momentalnie wyjął broń i wycelował ją we mnie.

– Powiedziałem, niech was Bóg błogosławi! Miałem dostarczyć chłopaka do ciebie, dostarczyłem. Teraz radźcie sobie sami.

Wolną ręką pokazał mi środkowy palec, po czym nacisnął przycisk w dół. Drzwi widny zamknęły się.

Geronimo stał przy drzwiach, przyglądając się chłopcykowi.

– Co to jest?

Rozłożyłem ręce.

– Miałeś mi mówić o wszystkich zleceniach – warknął.

– I mówię ci o wszystkich zleceniach! A to – wskazałem na chłopaka. – To nie jest moje zlecenie!

Chłopczyk ścisnął kopertę mocniej i wbił wzrok w buty.

– Jak ci na imię? – zapytał Geronimo, ale chłopiec nie odpowiedział.

Wpatrywał się wielkimi brązowymi oczyma w ubrudzone sandały, które odkrywały małe, jeszcze bardziej ubrudzone palce.

– Masz jakieś imię, prawda? – Geronimo ponownie zagaił do chłopca, a ja panicznie wybierałem numer do pana Wang. W Chinach była godzina dziewiętnasta. Powinien odebrać.

Chłopak nie odezwał się.

– Ok, powiedz mi później jak masz na imię. Wejdzmy do środka – zaproponował i wprowadził chłopca do mieszkania, po czym kazał mu usiąść na kanapie. – Chcesz obejrzeć telewizję? – usłyszałem za plecami.

Wolałem, żeby Geronimo nie spoufalał się z małym. Nie chciałem by zabawił u nas długo.

– Mówisz po angielsku? – kolejne pytanie wycelowane w chłopca, i kolejny raz brak odpowiedzi.

„Proszę zostaw wiadomość” – w telefonie usłyszałem głos automatycznej sekretarki.

– Fuck... – zakląłem i podszedłem do lodówki po coś do picia. Tym razem wyciągnąłem z niej butelkę piwa i szybko pociągnąłem kilka łyków.

Geronimo, wyciągnął ku chłopczykowi wielkie palce, a ten oddał mu kopertę, którą trzymał. Usłyszałem szum włączanego telewizora, a potem odgłos rozrywanego papieru.

– Chłopiec nazywa się Aisha...– Geronimo wczytał się w dokumenty. – Jest adoptowanym synem pana Li Wang